

Niebo przesuwalo się niespiesznie, chowając złowrogie, ciemnoszare chmury za horyzont, jakby wstydzając się swojej ponurości, która ciągle się odradzała. Tylko na krótkie momenty spod tych ciężkich zasłon przebijał nad wyraz nienaturalnie mocny blask księżyca, który ciągle próbował toczyć nierówną walkę z ziemską atmosferą. Noc była chłodna, potęgowały to nieprzyjemne podmuchy wiatru, uderzeniami atakując napotkane stworzenia, czy też przedmioty. Dawało się odczuć, jakby stan ten się stabilizował i tworzył nową normę życia na Ziemi – była to jedna z tych nocy, która ciągnąc się w nieskończoność, odkrywa z nieudawanym zaskoczeniem, że mimo wszystko ranem nastaje dzień.

Adam już trzecią godzinę włókł się po okolicy. Nie można było nazwać tego spacerem, przechadzką, czy też zwiedzaniem, bo w jego ruchach brak było jakiegokolwiek energii, ba – zdawało się, że tylko za sprawą tych podmuchów wiatru jest w stanie jeszcze postępować do przodu. Nienaturalnie powolne ruchy odrywania stóp od podłoża i apatycznego przesuwania nogi w przód sprawiały wrażenie, jakby poruszał się w jakiejś ciężkiej, oleistej mazi, a każdy ruch sprawia mu niewyobrażalny ból. Bólu tego jednak nie było widać na twarzy, do połowy schowanej w kapturze bluzy. Postronny obserwator mógłby nawet stwierdzić, że w jego twarzy widać było jedynie pustkę – była jak kamienny posąg, który zastygłszy w jednej pozycji wyrażającej absolutnie nic, trwa tak na wieki niezmieniony. Nie była to do końca prawda. Praktycznie niezauważalnie drgały mu co jakiś czas kąciaki warg – trudno stwierdzić, czy to z chłodu, czy przyczyna tkwiła w nim samym. Oczy co prawda nie wyrażały żadnych emocji, patrzyły w jednym kierunku, nie zwracając uwagi na nic, co nie znajdowało się w centrum jego zainteresowania, jednak było w nich coś niewysłowionego, coś, co wzbudzało uczucie zawstydzenia, a może współczucia...

Znajdował się w odległości kilku kilometrów od miasta, jednak wyraźnie było widać światła sztucznego świata, w którym – w odróżnieniu od pustej przestrzeni, na której znalazł się Adam – tętniło życie, bez względu na porę dnia czy roku. Dookoła była jedynie gęsta trawa, miękka poduszka pozwalająca poruszać się praktycznie bezszelestnie, kołysząca się w rytm nadawany przez chłodny, listopadowy wiatr. Pojedyncze drzewa straszyły swoimi już prawie nagimi gałęziami, zapowiadając nieubłagane nadciągającą hibernację wszystkiego, czym można zachwycać się na łonie natury. Przez środek tej zielonej pustyni biegły tory kolejowe, które w oddali kończyły się mostem, a następnie ginęły za zakrętem. Most ten znajdował się wysoko nad rzeką – nie będzie przesadą stwierdzenie, że pod nim była przerażająca przepaść, strome stoki wzgórza, jakby cięte olbrzymim nożem gwałtownie spadały w otchłań szerokiej na kilkaset metrów rzeki.

Adam był chłopakiem, bądź mężczyzną – ciężko to jednoznacznie stwierdzić, był on bowiem jedną z tych osób, co do których orzeczenie o ich wieku wiąże się z nie lada problemem – mógł mieć zarówno lat dwadzieścia, jak i trzydzieści pięć, choć jeśli zaistniałaby konieczność stawiania jednoznacznej diagnozy, najwłaściwszym określeniem byłoby, że jest to młody mężczyzna w wieku około dwudziestu pięciu lat. Był raczej wysoki i stosunkowo smukły. Bujne, ciemne włosy chował w kapturze bluzy, która wydawała się o kilka rozmiarów na niego za duża, a oczy, w których widać było niewytłumaczalną zadnymi słowami znanymi ludzkości wypełnioną pustkę, przybierały barwę to ciemno czarną, to szarą – w zależności od wyniku powietrznej bitwy księżyca z chmurami. Głos miał wibracyjnie niski, męski aż do granic, rzadko jednak z niego korzystał, zawsze wołał słuchać niż mówić. Teraz jednak przemierzał przestrzeń w absolutnej ciszy. Nawet w chwilach, gdy wiatr przestawał atakować, niemalym wysiłkiem byłoby usłyszeć jego miarowy i spokojny oddech.

Adam zmierzał w kierunku mostu. Nie ubrał się adekwatnie do pogody – spodnie ciasno opinające się na muskularnych łydkach i odsłaniające gołe kostki, sportowe buty i za duża bluza. Nie odczuwał jednak zimna, a przynajmniej tak mu się zdawało. Szedł bardzo powoli, jednak w jego na pozór niechcianych ruchach widać było determinację dotarcia do celu podróży, który zbliżał się z każdą chwilą tej ciągnącej się w przestrzeni i czasie wędrówki.

Było koło czwartej nad ranem, kiedy dotarł na środek mostu kolejowego. Jego wędrówka trwała więc dobre pięć godzin. Mimo to nie czuł ani zmęczenia, ani przenikającego chłodu, który osiągnął swoją kulminację. Księżyc, zdawało się, że wygrał swoją bitwę i świat rozjaśniał się z każdą chwilą coraz bardziej. Tory lśniły odbitym światłem, co świadczyło o tym, że szlak ten jest regularnie i stosunkowo często używany. Tak było w istocie – tory, które służyły Adamowi za drogowskaz do celu podróży, prowadziły na obrzeża, widocznego w oddali miasta – do wielkich zakładów produkcyjnych. Ze względu jednak na specyfikę produkcji, nocne transporty trafiały się nad wyraz rzadko. Adam usiadł na skraju mostu, przewieszając nogi w dół. Dopiero teraz poczuł jak bardzo duży wysiłek był za nim – nogi bezwładnie huśtały się nad przepaścią, a stopy pulsowały, dając znać o licznych odciskach. Nie obchodziło go to jednak zbyt nio i starał się o tym nie myśleć. Mimo że była za nim długa i samotna wędrówka, to nie myślał podczas niej o niczym, skupiony jedynie na tym, by iść przed siebie, aż do... Tak naprawdę sam nie wiedział gdzie chce iść i po co. Wcześniej wydawało mu się, że nie da się nie myśleć absolutnie o niczym – teraz ta myśl bawiła go i pierwszy raz twarz przybrała wyraz, który mógł świadczyć o tym, że mamy do czynienia z człowiekiem, a nie bezduszną maszyną.

Most był metalowy i solidny, obliczony, aby wytrzymać wieśset ton nacisku. Zdziwiał jedynie było to, że miejsce, w którym Adam usiadł wydawało się ciepłe. Fakt ten nie zajął jednak jego myśli zbyt długo. Siedział w ciszy, patrząc przed siebie, na przełom rzeki, która na dnie, w miejscu, gdzie zmieniała kierunek biegu, odbijała silnie białe promienie księżyca. Ręce włożył do kieszeni bluzy i siedział. Nie wiedział co dalej, nie był nawet w stanie odpowiedzieć sobie na pytanie, po co tu przyszedł i dlaczego w ogóle wyszedł z domu. Zamarł w bezruchu i zamierzał tak pozostać, sam nie wiedział ile...

– To moje miejsce – odezwał się cicho męski głos z prawej strony Adama. Wybudziło go to z odrętwienia, spojrzał na intruza – był to mężczyzna koło czterdziestki, dosyć gruby i z pokaźnym wąsem.

– To, proszę – odpowiedział Adam i przesunął się w lewo. Był zbyt zaskoczony, by pytać, zbyt oszołomiony, by rozumieć co się dzieje. Po chwili jednak powróciła mu przytomność – kim Pan jest? Co Pan tu robi? – pytał, starając się, aby jego głos nie wydał dźwięku zaskoczenia, czy też strachu.

– Co to ma za znaczenie? Mów mi Piotrek – odpowiedział nieznajomy i wyciągnął ku Adamowi swoją dłoń. Adam odpowiedział uściskiem.

– Ja jestem Adam.

– Też ładnie.

Zapadła nieoczekiwana cisza. Adam czuł się niezręcznie w tym zastoju. Nie rozumiał, skąd w tej pustce wziął się jakiś człowiek, dlaczego twierdził, że ten konkretny fragment mostu kolejowego jest jego. Nie chciał akceptować jego towarzystwa – liczył na samotność i ciszę, ale jednocześnie coś, czego nie był w stanie sobie wytłumaczyć, blokowało go przed wstaniem i opuszczeniem tego miejsca, celem znalezienia lepszej samotni. Uderzyło go również to, że miejsce, w którym teraz siedzi, w sposób nienaturalnie szybki i płynny ociepla się, by po chwili miał uczucie siedzenia na podgrzewanym, miękkim fotelu. Co go

jeszcze bardziej zdziwiło, most w innych miejscach był nieznosnie zimny i nawet położenie na dłuższą chwilę dłoni nie ocieplało bezlitosnego żelaza.

Nieznajomy, który kazał się nazywać Piotrkim, siedział w pozycji bardzo zbliżonej do tej, w której był Adam. Był dużo niższy, włosy miał rzadkie, znacznie go postarzające. Sięgał właśnie do kieszeni ukrytej we wnętrzu kurtki, ruchy miał płynne i powolne, wyraźnie dawał do zrozumienia, że mu się nigdzie nie spieszy. Wyciągnął paczkę papierosów, wyciągnął jednego i skierował dłoń z paczką w kierunku Adama. Ten wziął jednego papierosa, skinął głową w geście podziękowania i włożył rekwizyt otrzymany od nieznajomego do ust. Piotrek odpalił zapalnik i przykładając ogień do końca swojego papierosa, rozżarzył najbliższą swoją przestrzeń czerwonością spalanego tytoniu. Odpalił drugą zapalnik i skierował ją w kierunku Adama. Wiatr uderzył wtedy z dużą siłą, ogień jednak nie zgasł, a co więcej – nie zareagował na tę nieudolną próbę zniszczenia ulotnego ciepła. Zrobiło to niemałe wrażenie na Adamie, nie dał jednak po sobie poznać.

– Ciężki dzień, co? – zapytał jakby od niechcienia Piotrek.

Znowu zapadła ciężąca na barkach cisza. Adam nie spieszył się z odpowiedzią, nie był w nastroju na głupie rozmowy, ale i Piotrek widać było, że nie oczekuje szybkiej odpowiedzi. Był wręcz irytujący w swojej cierplivej pozie oczekiwania na odpowiedź, która nie nadchodziła.

– Ciężkie, kurwa, życie – odpowiedział Adam, kładąc nacisk na każdą sylabę, zaciskając przy tym zęby. Oczy zrobiły mu się szkliste, zagryzł więc wargi, aby opanować emocje.

– Nikt z lekkim życiem tu nie przychodzi – odpowiedział zobojętnionym głosem Piotrek – ja pytam czy bardzo ciężki miałeś dzień?

To zaskoczyło Adama, nie spodziewał się takiego obrotu spraw i nie wiedział, jak się ma zachować, ani co ma odpowiedzieć. „Dzień jak co dzień” wydawało mu się zbyt głupie, „najgorszy dzień w moim życiu” – to nie było zgodne z prawdą.

– Nie było w sklepie mojego ulubionego jogurtu – powiedział nagle, sam zaskoczony tą infantylną odpowiedzią oraz tym, że mówi o takich rzeczach osobie nieznajomej, z którą nawet nie chciał rozmawiać.

– A to, kurwa, dobre – zaśmiał się Piotrek i szczere spazmy śmiechu poruszały rytmicznie jego zbyt wydatnym brzuchem – żeby przez brak jogurtu... No, no – jego śmiech był coraz cichszy, aż zmienił się nie naturalnie w twarz zbyt poważną, by to pasowało to sytuacji sprzed kilku dosłownie sekund.

– Co to za jogurt? – zapytał po chwili tonem jak najzupełniej poważnym i pozbawionym jakiegokolwiek szydercy.

– No... Taki normalny... pitny... owocowy – zmieszał się Adam. Rozmowa ta wydawała mu się na tyle abstrakcyjna i dziecinna, że odczuwał fizyczny dyskomfort kontynuując ją. Nie mógł jednak się oprzeć pokusie dalszej konwersacji.

Zapadła znowu cisza. Obaj palili papierosy i aby co chwila ulatujący dym zmieniał nieznosną statyczność tej sceny.

– Ja stłukłem filizankę – powiedział nagle Piotrek. Twarz miał niezmienioną, patrzył w dal, podobnie jak

Adam, czuć było jednak narastające pomiędzy nimi napięcie, zawirowania powietrza wywołane słowami, których obaj nie wypowiadali. – Fajna to była filiżanka, taka ręcznie zdobiona, wiesz... Kupiliśmy sobie z żoną takie na urlopie w Zakopanem.

Znów cisza, przerywana tym razem rzadkimi westchnieniami obu panów siedzących na krawędzi przepaści. Niedopałki papierosów poleciały w dół, w stronę rzeki. Adam przechylił się, strącając dłonią kamyk, który leżał obok niego. Odliczał. Cichy i krótki plusk słychać było dopiero po upływie dwunastu sekund. Nigdy nie był dobry z fizyki ani z matematyki, ale wiedział wystarczająco dużo, by mieć pewność, że jest wystarczająco wysoko.

– Tak naprawdę, to filiżanka była tylko kropką nad i, jak to się mówi – odezwał się Piotrek, wrywając Adama z zamyślenia. Ich spojrzenia spotkały się, były pozornie puste, wyczuwało się jednak narastającą synergię, zrozumienie przy minimalnej ilości słów – Potrafiłem dziecko na drodze... Wybiegło... A zresztą, szczegóły nie są ważne, resztę sam sobie dopowiesz – powiedział beznamiętnym tonem Piotrek. Nie było czuć w nim emocji, tak jakby słowa, które wypowiedział przed chwilą recytował wiele razy.

Dziwne, jak określone zbitki dźwięków przylegają do człowieka: Piotrek mógł być Piotrkiem, ale myśl, że jest Piotrem, budziła jakiś wewnętrzny sprzeciw, podobnie, jak to, że do Adama, można zwrócić się *per* Adaś. Tak jakby zmiękczenia, bądź wzmocnienia imienia z gruntu miały usystematyzować człowieka względem otoczenia.

– Ja zostałem sam wśród tłumu znajomych – powiedział po dłuższej chwili Adam. Mówił cicho, miarowo, jakby deklamował wiersz na lekcji. – Wiele razy dawałem jakoś im znać, że sobie nie radzę i... – tu Adam w sposób sugestywny wzruszył ramionami. Wiatr atakował coraz zacieklej, jakby chciał przegonić niechcianych gości z mostu, jakby mu przeszkadzali, tymczasem on w żadnej mierze już nie przeszkadzał gościom.

– Im głośniejsz krzyczysz, tym mniej osób cię słyszy – stwierdził Piotrek mówiąc bardziej w dal, niż do Adama – Chodź, już czas na nas, jest pięć po czwartej – Piotrek wstał powoli, jakby przychodziło mu to z trudnością, rozprostował plecy, poruszał nogami.

Adam patrzył na niego z nieukrywanym zdziwieniem. Zdawało mu się, że zawsze dobrze potrafił ocenić upływ czasu. Tymczasem będąc tu dobre półgodziny, minęło raptem pięć minut. Nie mógł tego pojąć ani w żaden sensowny sposób wytłumaczyć tego przed samym sobą. Piotrek musiał odgadnąć nurtujące Adama myśli.

– Czwarta nad ranem zawsze trwa trochę dłużej. Przyzwyczaisz się, masz na to dużo czasu – powiedział, wyciągając dłoń ku Adamowi. Stali jeszcze przez chwilę patrząc w dół na ciepłą i niezmienną rzekę. Zanim ruszyli, Adam raz jeszcze dotknął miejsca, na którym przed chwilą siedział – cały czas było ciepło.

– Tego nie umiem wytłumaczyć – powiedział Piotrek – być może jest to ślad, który każdy z nas zostawia, a może jest to wymysł naszego chorego umysłu – mówił, idąc już w kierunku wzgórza za mostem. Adam dołączył do niego. Po przeciwnej stronie horyzontu niebo zaczęło powoli zmieniać swoje ubarwienie, oczekując, że po tej długiej i zimnej nocy nadejdzie upragnione słońce.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z

dnia 4 lutego 1994r.).

BeNeK, dodano 06.03.2023 17:55

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.